Bezpłatny dodatek do Nr 92. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 14 | Kraków, niedziela, dnia 4 kwietnia 1937 r. | Rok II

Ks. Dr TEODOR KUBINA Biskup Częstochowski

W powrotnej drodze z Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego

POLSKI APOSTOŁ — LEKARZ W CHINACH

J. E. Ks. dr. T. Kubina, biskup częstochowski, był łaskaw przyrzec nam kilka artykułów na temat życia Dalekiego Wschodu, który odwiedził świeżo w związku ze swoim udziałem w Międzynarod. Kongresem Eucharystycznym na Filipinach. Kilka już korespondencyj zamieścił ks. biskup Kubina w tygodniku diec. częstochowskiej „Niedziela" Razem złożą się na większą całość, która wyjdzie wkrótce pod tytułem: „Pod flagą papieską na Dalekim Wschodzie". Dodajmy, że ksiądz biskup Kubina brał udział w kongresach eucharystycznych w Chicago (1926 r.) i w Buenos Ayres (1934). Bogactwo wrażeń, które zebrał podczas podróży do dalekich krajów, daje Mu możność czynienia ciekawych spostrzeżeń... Pierwszy z zapowiedzianych artykułów Księdza Biskupa, który dziś drukujemy dzięki Jego szczególnej dla „Głosu Narodu" życzliwości, przynosi niezwykle ciekawe dane o pracy polskiego misjonarza-lekarza w Chinach. Uw. Red.

Wród licznego duchowieństwa misyjnego, należącego do różnych Zgromadzeń zakonnych, a pracującego na niwie Szanghajskiej, niestety nie ma żadnego Polaka. Nie ma tu nawet polskiego duszpasterza dla dość poważnej, tu istniejącej polskiej kolonii. O tej ważnej sprawie jeszcze pomówimy. Wśród jeszcze liczniejszego zastępu Sióstr spotkaliśmy tylko dwie Polki we wspaniałym zakładzie wychowawczym Sacré Coeur, obie pochodzące z Poznańskiego, a dopiero od krótkiego czasu tu pracujące. Nie mogła się więc dotąd w Szanghaju zaznaczyć działalność polskiego misjonarza. Mimo to polski misjonarz zdobył sobie dziś wielki i chlubny rozgłos w Szanghaju, jak w ogóle, można śmiało powiedzieć, w całych Chinach. Stało się to dzięki nadzwyczajnej działalności polskich Księży Misjonarzy, a szczególnie jednego z nich, ks. dr Wacława Szuniewicza, w okręgu misyjnym Shuntehfu w Północnych Chinach.

Shuntehfu leży, niestety, zbyt daleko od Szanghaju, by nasi dzielni rodacy-misjonarze mogli byli stamtąd przyjechać do nas, albo my do nich, aby się rozmówić o warunkach i skutkach ich dziś już głośnej działalności na polu misyjnym.

Dzięki uprzejmości naszego poselstwa w Szanghaju, utrzymującego z nimi ścisły i najserdeczniejszy kontakt, otrzymaliśmy jednak tyle informacji o ich pracy, że mogliśmy sobie o niej wyrobić dość dokładny obraz. A informacje te zawierają tak ciekawe dane, są tak zaszczytne dla polskiego imienia, tak chwalebne dla polskiego katolicyzmu, że warto o tej sprawie szerzej się rozpisać i zaznajomić z nią nasze polskie społeczeństwo w kraju.

Polacy zawsze brali wybitny udział w wszechświatowej pracy misyjnej Kościoła świętego. Zgodnie bowiem z kierunkiem dziejów naszych, które nas wysunęły na krańce świata katolickiego w narodzie naszym wyrobiło się silne nastawienie misyjne. Prawie każdy z nas, o ile miał dobre katolickie wychowanie, marzył w młodych latach o pracy w misjach jako o ideale życia swego. To marzenie w licznych duszach naszej młodzieży stało się rzeczywistym powołaniem, któremu też z gorliwością się oddali. Stąd Polaków znajdujemy we wszystkich zgromadzeniach misyjnych; znajdujemy ich rozprószonych na licznych posterunkach misyjnych na szerokim świecie. Mało się jednak o nich mówi, bo zaginęli pod obcą flagą, pod którą w czasach niewoli musieli się chronić, by móc iść za swoim powołaniem. Pod polską flagą nasze aspiracje misyjne mogły się rozwinąć dopiero z chwilą, gdy polska flaga mogła swobodnie powiewać na świecie, gdy naród polski mógł się zgłosić jako niepodległy do samodzielnego udziału w pracy nad powszechnym dobrem całej ludzkości. Mamy więc obecnie już własne polskie okręgi misyjne, przydzielone naszym polskim misjonarzom przez Stolicę Apostolską.

Takim okręgiem misyjnym jest Prefektura Apostolska Shuntehfu w Północnych Chinach, powierzona Zgromadzeniu Księży Misjonarzy św. Wincentego à Paulo w Krakowie. Olbrzymi to okręg, bo obejmuje 12.000 km. kw. a ludności 1,100.000, wśród której obecnie jest zaledwie 17.000 katolików. Czcigodni Księża Misjonarze objęli go dopiero w roku 1931, ale w tym krótkim, bo zaledwie 5-letnim, okresie czasu tak błogą rozwinęli działalność, tak Chrystus Pan błogosławił ich pracy — że dziś Polska Misja w Shuntehfu należy do wzorowych, że rozgłos jej działalności rozszedł się po całych Chinach. Założyli 88 szkół, z tych 19 powszechnych, a 69 parafialnych; do szkół tych dziś uczęszcza razem 1.700 dzieci. Założyli 144 Katechumenaty, w których blisko 3000 Chińczyków przygotowuje się do Chrztu świętego. Założyli szkołę w Kinlu w celu przygotowywania Chińczyków-katolików do pracy misyjnej jako katechistów. Obecnie już 123 katechistów i katechistek wspólnie z misjonarzami pracuje nad rozszerzeniem wiary. Do tego doliczyć trzeba 44 nauczycieli i nauczycielek (Chińczyków również), pomagających Księżom Misjonarzom w pracy kulturalno-oświatowej. Jest to dorobek na prawdę wielki; świadczy o niezmordowanej pracy, o bezgranicznym poświęceniu naszych dzielnych misjonarzy i o błogosławieństwie, którym dobry Bóg ich obdarza. A jest ich niewielu, bo cały wielki okręg misyjny liczy w obecnej chwili tylko 15 polskich, a 5 chińskich, księży, 2 braci zakonnych Polaków i 12 Sióstr miłosierdzia, z czego 8 Polek, a 4 Chinki. Na czele Misji jako Prefekt Apostolski stoi dzielny, energiczny, choć szczupły wzrostem, ks. Ignacy Krauze, mimo niemieckiego nazwiska, dobry Polak.

Największy rozgłos jednak Polska Misja w Shuntehfu zdobyła przez swoją działalność na polu charytatywno - lekarskim.

A działalność tę mogła rozwinąć dzięki temu, że wśród Księży Misjonarzy znalazł się człowiek o wprost Opatrznościowym powołaniu. Jest nim ks. dr Wacław Szuniewicz. Był już lekarzem, doktorem medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalistą w chorobach oczu, gdy idąc za głosem Bożym, wstąpił do Zgromadzenia i został kapłanem. Widocznie Opatrzność Boża zaprowadziła go do Chin, bo tu znalazł pole pracy, na którym mógł w całej pełni rozwinąć nie tylko swoje kapłańskie powołanie, ale także swoje cudowne wprost zdolności lekarskie i swój geniusz organizacyjny.

Kiedy przyjechał do Shuntehfu, zastał tu mały szpitalik z 19 łóżkami, dotąd wystarczający na warunki miejscowe. Kiedy jednak polski misjonarz - lekarz począł w tym szpitaliku przyjmować chorych i dokazywał wprost cudów w leczeniu chorób oczu, napływ pacjentów wzrósł tak, że należało szpital powiększyć i ulepszyć. Dziś szpital może już pomieścić ponad stu chorych. Rocznie przechodzi przezeń przeszło 1000 chorych, ilość dokonanych operacji 800, z czego ciężkich (katarakty i inne) 227.

Mimo nadludzkiej pracy dr Szuniewicz nie zadowolił się organizacją i rezultatami tego na całe Chiny dziś słynnego szpitala. Głos Chrystusowy: „Misereor super turbam" „żal mi ludu" — nie dał mu spokoju. Wiedział on dobrze, że nie wszyscy chorzy mogą przybyć do Shuntehfu, że ograniczone ludzkie siły nie pozwalają jemu samemu bezpośrednio wszystkim udzielić pomocy. Stworzył więc obok centralnego szpitala w Shuntehfu całą sieć ambulatoriów i przychodni na całym terytorium Prefektury, które powoli przeistaczają się w małe szpitale. Równocześnie założył szkołę pielęgniarską w celu wyrobienia w niej (w dwuletnim kursie) szeregu pielęgniarzy i pielęgniarek, którzy by, pozostając pod jego kontrolą, mogli objąć te w całej Prefekturze rozrzucone ambulatoria i przychodnie. Świetnie to mu się udało. Ruch w tych ambulatoriach wykazuje w przeciągu jednego, ostatniego, roku wprost nieprawdopodobną liczbę, bo niemniej jak 145.000 chorych.

Sława polskiego misjonarza-lekarza dziś rozeszła się po całych Chinach. Szpital w Shuntehfu stał się celem pielgrzymek chorych z najodleglejszych miejscowości. A nie tylko chorzy pielgrzymują do tego polskiego apostoła - lekarza; pielgrzymują do niego także chińscy lekarze - okuliści, by pod jego kierunkiem dokształcić się w zdobytej już gdzie indziej sztuce i wiedzy lekarskiej.

Biskupi z całych Chin również zwracają się do niego z prośbą, by przyjął do swej szkoły pielęgniarskiej także Siostry z ich okręgów misyjnych dla wyrobienia ich w prowadzeniu podobnych jak w Shuntehfu ambulatoriów, które by pozostawały pod jego kontrolą. W tym samym celu zwrócił się do niego nawet dyrektor Centralnego Szpitala w Pekinie. Przychylając się do jego prośby dr Szuniewicz zorganizował w kilkumiesięcznej intensywnej pracy wzorową przychodnię przy tym szpitalu; równocześnie przyspasabiając do pracy w niej lekarzy chińskich. Całe Chiny ubiegają się wprost o tego Opatrznościowego człowieka. Najwyższe powagi naukowe z entuzjazmem wyrażają się o jego działalności po zwiedzeniu instytucji, którą stworzył. „Sława polskiego uczonego" — tak pisze o nim rektor Uniwersytetu „Aurore" w Szanghaju w swym sprawozdaniu z pobytu w Shuntehfu — „rozeszła się na kilka prowincyj Północnych Chin i chorzy zjeżdżają się do niego z miejscowości oddalonych

(Dokończenie na stronie 2).

MARINO MORETTI

LA DOMENICA DELLA SIGNORA LALLA

Gdy smutnej duszy nic nie cieszy zgoła,
a serce krwawi się żałością srogą,
jakżeby chętnie wróciło się drogą,
u której celu stała niegdyś — szkoła.

O tak. Więc szybko bierzemy co trzeba:
pióro, ołówek, gumę i atrament,
zeszyt, czytankę i Stary Testament,
a na śniadanie drugie kromkę chleba.

I w drogę, jasnym wyzłoconą słonkiem.
Powtórzmy wierszyk, za pamięci świeżej...
Boże, jak późno. Dzwon bije na wieży...
byleby zdążyć do klasy przed dzwonkiem...

Co mówię? Przecież dziś wolne, w niedzielę
nie ma nauki, — więc w domu zostanę.
Zobaczmy, co jest na jutro zadane:
trochę z historii wykuć, — to nie wiele.

Pomnę, raz była szkoła, — tak od święta,
szkoła prawdziwa, dobra, choć nie wielka.
I jedna była w niej nauczycielka,
stara, poczciwa... Kto ją dziś pamięta?

Signora Lalla... Gdzieś ty o tej porze?
Czy stawiasz piątkę w dziecięcym zeszycie,
poprawiasz błędy, — lub kręcisz się może
wśród twych ławeczek i wzdychasz tam skrycie?

Signora Lalla, czy masz jeszcze w domu
Tego Jezuska z papierowej masy
i owe żłóbki, — radość całej klasy,
których dotykać nie dałaś nikomu?

A ten portrecik przeze mnie zrobiony,
com ofiarował ci na imieniny?
A pukiel włosów zmarłej siostry Niny?
A ten ołtarzyk w ramkę oprawiony?

Może umarłaś? I z tobą pospoły
zniknęły z domu wszystkie te przedmioty,
Jezusik, żłóbki i ołtarzyk złoty
i te ławeczki i warkocz i stoły?

Cóż z tego? Choćby cię grobu pokrywa
przygniotła, — kocham cię zawsze. I w trumnie
spoglądasz nieraz, wiem, miłośnie ku mnie
i jesteś dla mnie wciąż droga i żywa.

Signora Lalla, jakże różne, szczersze
jest to dzisiejsze me wypracowanie...
Powiedz, chcesz rzucić jeszcze okiem na nie?
To śmieszne — spojrzyj — toż to wszystko — wiersze...

Przełożył Kazimierz RYCHŁOWSKI (Lwów).

Polski apostoł — lekarz w Chinach

(Dokończenie ze str. 1).

o setki kilometrów. Operacje robione przez ks. dr Szuniewicza uważane są za fenomenalne przez wszystkich specjalistów... To, co robi dr Szuniewicz, to w normalnych warunkach robi 10 lekarzy".

Na podstawie tego raportu fakultet medycyny Uniwersytetu „Aurore" postanowił w przyszłości swych dyplomowanych lekarzy, pragnących specjalizować się w okulistyce (leczeniu chorób ocznych), już nie wysyłać, jak dotąd, do klinik paryskich, ale skierować ich do kliniki ks. dr Szuniewicza, do Shuntehfu. Rektor tegoż Uniwersytetu ofiarował mu także tytuł honorowego profesora i oświadczył, że gotów jest uznać jego szpital w Shuntehfu za klinikę oczną Uniwersytetu. Zaszczytna to propozycja i nader korzystna, bo uznając klinikę dr Szuniewicza za klinikę uniwersytecką, a jego samego za profesora Uniwersytetu, Uniwersytet przyszedłby z tak bardzo potrzebną pomocą finansową szpitalowi i pomógłby ks. dr Szuniewiczowi do urzeczywistnienia dalszych jego zamiarów. Nie zgodzili się jednak na to ani ks. dr Szuniewicz, ani jego przełożeni, bo gdyby to uczynili, szpital dr Szuniewicza straciłby swój charakter polski i stałby się filią francuskiego Uniwersytetu, kierują nim bowiem Jezuici francuscy. W konsekwencji działalność i zasługi polskiego misjonarza-lekarza poszłyby na konto francuskiej pracy misyjnej w Chinach.

Za zajęcie takiego stanowiska, dyktowanego polskim patriotyzmem, powinniśmy w kraju być wdzięczni ks. dr Szuniewiczowi i Zgromadzeniu Księży Misjonarzy. Bo choć sprawa misyjna jest wspólną całego Kościoła sprawą, mamy jednak jako Polacy wielki w tym interes, by podobnie jak inne narody, zaznaczyć w niej nasz specjalny udział i nasz własny dorobek; mamy szczególny interes w tym, by zwłaszcza na Dalekim Wschodzie, by w Chinach wykazać nasze zdolności polskie, stworzyć tu silne placówki własne, świadczące o naszym polskim duchu i naszej polskiej sile. Ks. dr Szuniewicz i Księża Misjonarze, do których należy, przez swoją gorliwą pracę kapłańską i charytatywną w krótkim czasie dla propagandy polskiego imienia na Dalekim Wschodzie więcej uczynili, niż mogliby uczynić dyplomaci lub korespondenci i pisarze, którzy by w tym celu byli wysłani na Daleki Wschód.

Polski szpital w Shuntehfu dziś już cieszy się nieomal taką sławą w Chinach, jak słynne obserwatorium francuskich Księży Jezuitów w Zikawei, a polski misjonarz-lekarz takim uznaniem, jak słynni uczeni Jezuici francuscy przy tym obserwatorium, albo też jak wielki apostoł chiński Loh-Pahung. Daj Boże, żeby ten wielki polski misjonarz-lekarz jak najdłużej mógł żyć i pracować dla chwały Bożej, dla dobra wielkiego narodu chińskiego, a także dla sławy polskiego imienia!

Powinniśmy atoli z kraju przyjść mu i Księżom Misjonarzom z pomocą w ich naprawdę apostolskiej pracy. Misja w Shuntehfu pracuje w nader trudnych warunkach. Dzieło ks. dr Szuniewicza utrzymuje i rozwija się tylko dzięki jego nadludzkiej gorliwości i pracy i nadzwyczajnej zdolności organizacyjnej, umiejącej najskromniejszymi środkami osiągnąć zdumiewające rezultaty. Środki Misji przede wszystkim nie starczą na zaopatrzenie szpitala ks. dr Szuniewicza w odpowiednie narzędzia chirurgiczne. O tym powinniśmy w kraju pomyśleć. Tak pamiętają francuscy katolicy o swoich szpitalach misyjnych, jak w ogóle o zakładach naukowych i misjach. Niedawno, jak się dowiedziałem, szpital przy Uniwersytecie „Aurore" w Szanghaju, prowadzony, jak już wspomniałem, przez francuskich Księży Jezuitów otrzymał piękny zbiór instrumentów chirurgicznych od francuskich fabrykantów przyrządów szpitalnych. Czyżby tacy fabrykanci nie znaleźli się także w Polsce?

A możeby między młodymi lekarzami i lekarkami polskimi znaleźli się tacy, którzy odczuwając w sobie podobnie jak ks. dr Szuniewicz głos Boży, przyłączyliby się do niego by, pomóc mu utrzymać i rozwijać dalej jego wielkie dzieło... Byłoby to naprawdę wielkie powołanie, droga do wielkiej „kariery" w służbie Bożej.

Pamiętajmy też o tym, że przyszłość i wielkość Polski nie zależy tylko od naszego czynu w kraju, ale w wielkiej mierze także od naszego czynu na szerokim świecie, od naszego udziału w ogólno-ludzkich sprawach. A taką sprawą jest wielka sprawa misyjna, sprawa rozszerzenia Królestwa Chrystusowego na całym świecie.

Podróż moja na Daleki Wschód, zaznajomienie się choć — muszę przyznać — bardzo pobieżnie z prądami duchowymi, wierzeniami i stosunkami panującymi tam między setkami milionów ludzi najróżniejszych ras, utwierdziły mię w przekonaniu, że jedynie nasza św. religia katolicka może naprawdę wyzwolić Wschód. Bo ona jedynie jest religią naprawdę „humanitarną", naprawdę „ludzką", czyli religią, która umożliwia człowiekowi życie naprawdę godne człowieka, odpowiadająca jego najgłębszym potrzebom, jego doczesnemu i wiecznemu powołaniu. Dlatego sprawa misji katolickich jest tak ważną, powołanie misjonarza tak wzniosłe, ofiary na misje tak płodne w skutki doczesne, a przede wszystkim wieczne. Kolonizacja czysto technicznymi środkami, jak ją dziś różne narody prowadzą na Dalekim Wschodzie i w innych częściach świata, tworzy tylko, trzeba przyznać, niekiedy wspaniałe fasady, jakie widzieliśmy w Bombaju, Singapore, Szanghaju, Hongkongu, Sajgonie, ale nie wyzwala naprawdę ludzi, nie przynosi im pełnego życia, a zbyt często, niestety, ich poniża, zwyradnia, pozbawia naturalnych cnót, dodatnich właściwości i zalet. Wskutek tego jest niebezpieczeństwo, że te dziś kolonialne rasy i narody, skoro pozbędą się obcych nad sobą rządów, co, zdaje się, stanie się w nie tak dalekiej przyszłości, stworzą u siebie tylko lichą imitację zmaterializowanej Europy lub Ameryki. Naprawdę wyzwolić, naprawdę podnieść może te narody i rasy tylko religia Chrystusowa, która nie niszczy tego, co z natury w nich jest dobre, ale uszlachetnia, i nie narzuca im tego, coby było obce ich duszy. Bo w religii katolickiej, głoszonej tak jak ją głosił nasz Boski Mistrz, nie ma też nic, coby mogło być obcym jakiejkolwiek duszy niezdeprawowanej, do jakiejkolwiek bądź rasy, czy narodu należy. Jest ona naprawdę powszechna, wszechświatowa, ogólno-ludzka, jak słońce, które nigdzie nie jest obce, choć świeci w różnych częściach świata.

Misjonarze są i powinni być promieniami słońca Chrystusowego. Takim promieniem w Chinach jest niewątpliwie polski lekarz-misjonarz, ks. dr Wacław Szuniewicz. Cieszmy się, że ten promień wyszedł ze słońca Chrystusowego, jaśniejącego nad polską ziemią i w polskiej atmosferze.

ALEKSANDER BUCZKO

ORMIANIE W POLSCE

Armeńczycy, czyli Ormianie, są narodem indoeuropejskim, pochodzenia aryjskiego, tak samo, jak naród polski, czy który kolwiek z narodów europejskich. W swoim języku zwą się **Hajkami**. Nazwa to wywodzi się od imienia bohatera i organizatora ormiańskiego narodu, który nazywał się **Haig** i miał być twórcą-założycielem (około roku 2247 przed narodzeniem Chrystusa) państwa ormiańskiego. Właściwie to rzecz z tą nazwą ma się podobnie jak — w historii Polski — z Lechem i Lechitami; są to szczegóły „bajeczne" a nie ściśle historyczne. Twierdzić prawie z pewnością można, iż ta nazwa datuje się od pierwszej połowy siódmego stulecia przed Chrystusem, bo właśnie od 623 r. przed Chr. datuje się indoeuropejska kultura i cywilizacja w Armenii („wędrówka narodów" — najazd cymeryjskich aryjczyków).

Kraj ojczysty Ormian, Armenia, po ormiańsku **Hajastan**, leżący tuż na południe od Kaukazu, przepiękny kraj górzysty, był od dawna przez wrogów nękany, aż został rozdarty przez Rosję, Persję i Turcję, i dotąd jest w niewoli. Najwięcej ucierpieli w zaborze tureckim (podczas wojny i w okresie światowej wojny Turcy wymordowali milion ludności ormiańskiej); znośniejszy znacznie jest ich los w Persji. Część kraju zagarnięta przez Rosję otrzymała, w ramach Z. S. R. R., niby autonomię, ale tego nie można nazwać właściwie oswobodzeniem, tym bardziej, że w tej republice mieszka niecałe półtora miliona Ormian, podczas gdy cały naród liczy kilka milionów.

Dzieje Ormian w **Polsce** zaczynają się od r. 1062 ery chrześcijańskiej. Nie jest rzeczą całkiem pewną, czy wtedy już na dobre kolonia ich zainstalowała się w „Lechistanie", ale to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w r. 1062 znaczna liczba ormiańskich bojarów przybyła do Kijowa, gdzie wielki książę Izasław ponoć przyjął ich skwapliwie jako pożądaną pomoc dla swych wojsk.

W międzyczasie atoli wypadki, jakie miały miejsce w Armenii, uniemożliwiły im powrót do ojczyzny i Ormianie musieli pozostać na terytorium Kijowszczyzny; stąd następnie przyszli na Podole i do Małopolski Wschodniej. Otóż w w. XII emigranci ormiańscy z całą pewnością byli już nie tylko w tej części kraju, ale i poza Małopolską Wschodnią. We Lwowie mieli oni już w r. 1183 swoją własną parafię i parafialny kościół własny pod wezwaniem św. Anny, obsługiwany przez mnichów — Bazylian ormiańskich.

To był pierwszy okres emigracji ormiańskiej do Polski. W następnych wiekach podobnież szli Ormianie, losem gnani do Europy wschodniej — na Wołoszczyznę, Mołdawię, Bukowinę, i dalej — do Polski, gdzie zawsze przyjmowani byli bardzo serdecznie, jako dobry element napływowy. Nie mniej i przez Krym prowadziła droga imigracji do Polski.

Imigracja Ormian do Polski od początku prawie była sporadyczna; nie ustawała jeszcze w XVIII stuleciu; w późniejszych okresach i w czasach obecnych ogranicza się jeno do przybycia jednostek czy też pojedyńczych rodzin ormiańskich.

* * *

W XIV stuleciu na ziemiach Polski były dwie ormiańskie diecezje, jedna z siedzibą w Kamieńcu Podolskim, drugiej stolicą stał się Lwów. Później powstało biskupstwo w Mołdawii, poza Polską, ale od początku prym został przyznany stolicy biskupiej lwowskiej. Lwowskie biskupstwo w r. 1367 otrzymało „placet" królewskie dla swej organizacji i działalności. Biskupstwo to, z początku schizmatyckie — następnie, po różnych przejściach, przyłączone do Kościoła katolickiego, definitywnie w r. 1630. i w następstwie tego podniesione do godności arcybiskupstwa — metropolii, — jest dzisiaj jedynym w Europie arcybiskupstwem obrządku ormiańskiego.

Pierwszym we Lwowie biskupem ormiańskim (ok. 1365) był J a n I, potomek dawnej ormiańskiej rodziny królewskiej; drugim był G r z e g o r z W i e l k i (1367—1414) trzecim A w e d i s (1415—1445). Nie wiemy dokładnie o tych biskupów kontakcie ze Stolicą Świętą w Rzymie. Najprawdopodobniej Jan I i Grzegorz Wielki nie byli z nią w jedności, ale w r. 1439 lwowskie biskupstwo zapewne by-

(Ciąg dalszy na str. 3).

STANISŁAW PIGOŃ

Kartki z pamiętnika 1914 r.

2.) Z Belgii pod forty Verdun, Marna

Dnia 27 sierpnia rankiem trzeba było raptem gotować się do drogi, a koło południa w drobnym, dokuczliwym deszczyku wyjeżdżać z Maizeret. Spod komendy 2. armii, operującej na linii Liege-Namur i dalej północnym szlakiem, przejść mieliśmy niżej, na południe, do armii 4, pod dowództwo Kronprinza, a po drodze zdobyć jeszcze graniczny fort francuski Givet. To był nasz cel najbliższy.

Zostawiając opierający się jeszcze resztkami fortów Namur, ruszyliśmy przez Belgię na południe, znowu doliną Mozy. Droga była boleśnie monotonna: zgliszcza i zgliszcza, jeszcze się kurzące, ruiny ciepłe po niedawnych pożarach. Długa aleja zemsty niemieckiej za próby franctireurstwa. Wsi tu były zasobne, pięknie murowane; teraz to wszystko świeciło pustymi jak oczodoły oknami, sterczało ku niebu kikutami niepodorozwalanych kominów. Wieczorami zapalały się dalekie horyzonty coraz nowymi łunami; burza wojny szła w głąb.

Koronę zniszczenia mieliśmy dopiero zobaczyć: Dinant. Miasto położone w przepięknej okolicy w dolinie Mozy, rozsiadło się szeroko ślicznymi willami i ogrodami. Teraz i tu jedno wielkie spalenisko. Wjechaliśmy do miasta głęboką nocą, zmęczeni drogą do upadłego, okryci warstwą sklejonego potem kurzu, głodni. Ledwieśmy wepchnęli żołnierzy po czterdziestu w ciasne izdebki, wymoszczone jakąś tam słomą, a już wszystko spało pokotem w ubraniach, pasach, byle jak. Nas oficerów gościnny oficer z komendy miasta zaciągnął do jedynego chyba w całym mieście domu, co miał dach, choć okna i tu były powybijane, do jakiegoś hotelu, gdzie jadła wprawdzie nie było, ale wina w bród. Kolbą w drzwi przywołaliśmy gospodarza. Oficer zabawiał nas, opowiadając różne „Mordsgeschichten" o okrucieństwach franctireurów. Dobrze po północy dopiero można było skłonić głowę na ogołoconym łożu hotelowym, za przykrycie mając — gruby na ½ łokcia materac. Na drugi dzień mieliśmy do południa czas, by się oczyścić nieco i obejrzeć miasto.

Oh, lepiej było nie oglądać! Piękne, zasobne do niedawna miasto właśnie przed paroma dniami zostało spalone i zrabowane do szczętu. Ocalało kilka zaledwie domów. Śliczna gotycka katedra — w gruzach. Most na Mozie zwalony przez cofających się Belgów; panujący nad nim dumnie na wysokiej, skalistej, prostopadle urwanej ścianie staroświecki fort nadbrzeżny — pusty. Z dawnej huczności życia — gromadki wyrostków i kobiet o oczach spłakanych, zapadniętych, przychodzące żebrać o odpadki z żołnierskich kuchni polowych.

Zresztą miasto martwe, sklepy poodbijane i puste lub właśnie pustoszone. Najdłużej wytrzymały atak nieprzyjacielski bogate, przepaściste piwnice; jeszcze przy nas wywożono z miasta wozy naładowane butelkami. Kończono też wypróżnianie zasobnej spiżarni klasztornej miejscowego kolegium.

Obejrzeliśmy bliżej dzielnicę, w której odbyły się walki uliczne. Część mieszkańców zabarykadowała się była w domach, porobiła improwizowane w ścianach strzelnice, usiłowała nie przepuścić Niemców. Zaciągnięto więc przeciwko nim artylerię, domy zburzono granatami, miasto poszło z dymem, ujętych powstańców zdziesiątkowano. Wszystko to miało służyć za odstraszający przykład pomsty niemieckiej. Okropny musiał być dzień tej pomsty. Z ulic nie wszystkie jeszcze zwłoki uprzątnięto; pod jednym z domów leżały porzucone zwłoki paromiesięcznego dziecka przebitego bagnetem. Koło stanowiska naszej baterii przepływał obrzękły, rozkładający się już trup zabitego „cywila"; płynął zwolna, kołysząc się na wodzie i błyskając martwymi białkami otwartych, wysadzonych na wierzch oczu. Dobił wreszcie do wyciągniętych przez rzekę pontonów saperskich, dźwigających prowizoryczny most; tam go dopiero wyłowiono i pogrzebano.

Tuż przed odjazdem z tego miasta-ruiny zobaczyliśmy jeszcze więźniów wojennych: niewielki oddziałek sinych żuawów i sporą grupkę aresztowanych księży. Szli zwolna, kilku z nich podtrzymywało w środku białowłosego starca, znaczniejszego jakiegoś dostojnika kościelnego. Księży-francuskich Niemcy zajadle nienawidzą, im zarzucają organizowanie szpiegostwa, podmawianie z kazalnic do oporu i zachętę do franctireurstwa. Chodziły na ten temat coraz to nowe wieści: tam przychwycono podobnoś księdza podającego tajnym telefonem wiadomości o pozycjach bateryj niemieckich, ówdzie znaleziono jakoby na wieży kościelnej karabin maszynowy i przychwycono obsługującego go księdza i t. p. Ile w tym prawdy, — trudnoż było nam sprawdzić, dość że zajadłość na duchowieństwo była wielka. To też przechodzącemu wtedy oddziałkowi księży-jeńców żołnierze niemieccy nie szczędzili rubasznych żartów, obelżywych okrzyków.

Z Dinant nie daleko mieliśmy do upatrzonego nowego stanowiska. Odchyliwszy się trochę od Mozy na południowy wschód, stanęliśmy wieczorem dnia 28. VIII na polach wioski Falmignoul naprzeciw fortu Givet. Granica francuska wciska się mianowicie ostrym klinem po obu brzegach Mozy głęboko w Belgię; niemal u wierzchołka tego klina, na skrzyżowaniu ważnych dróg: wodnej i lądowej, leży wspomniany francuski fort graniczny Givet. Wojsko niemieckie okrążyło go tylko i pognało w głąb Francji, nam wypadło go zdobyć.

Przez całą noc trwała praca przy wbudowywaniu baterii. Noc była chłodna, księżycowa; nad ranem okolica zaciągnęła się gęstą białą mgłą. Zasłaniała ona krajobraz przez cały dzień następny; o obserwacji strzałów, a zatem i o działalności baterii nie mogło być mowy. Dopiero przez niedzielę, 30. VIII, i poniedziałek obrobiliśmy fort bombami, tak, że wieczorem 31. VIII wywiesił białą chorągiew.

W ten sposób skończyła się rola nasza w Belgii, a zaczął się nowy okres naszej wyprawy, okres francuski.

* * *

Zaczął się podróżą. Z terenu operacyjnego armii 2. trzeba się było dostać do armii 4. operującej koło Verdun. Kawał drogi, tym większy, że jechać wypadło ogromnym zakręgiem.

Pierwsze dni września były upalne, drogi nasze rozjeżdżone przez ustawiczne transporty, pełne białego pyłu wapiennego; okolice dziesiątkami kilometrów pozbawione wody, noclegi po stajniach, stodołach lub pod gołym niebem, żywność obrzydliwie monotonną — w takich warunkach wojażowaliśmy przez Belgię i Francję całe dziewięć dni. Robiliśmy dziennie 40—100 km., jak wypadło.

Przede wszystkim trzeba było przeprawić się przez Mozę, co z ciężkimi naszymi działami przy ówczesnym stanie mostów nie było sprawą łatwą. Najbliższy możliwy most był w Namur. Wracając się, musieliśmy ponownie przejechać przez Dinant.

Na pierwszy nocleg dobiliśmy do Namur. Na drugi dzień droga wypadła przez płaskie urodzajne pola do Philippeville. Teraz dopiero wjechaliśmy na prawdziwe pobojowisko. Starano się, widać, coraz zacięciej powstrzymywać

Ormianie w Polsce

(Dokończenie ze str. 2)

ło w łączności z Papiestwem, bo na to zdaje się wskazywać „breve“ Eugeniusza IV, skierowane do biskupa Ormian w Ilov (t. j. we Lwowie).

Następnie biskup **K r z y s z t o f** (1451—1478), był biskupem katolickim, co więcej, znajdujemy o nim wzmiankę, iż był „niezachwianym obrońcą jedności Kościoła“. Także samo **S t e f a n**, piąty z kolei biskup (1481—1492), nazwany został „rectae fidei cultor“. Szóstym biskupem diecezji ormiańskiej lwowskiej był **K i l i a n**, najpierw administrator diecezji a później biskup (1516—1544). Następnie, po czteroletnim wakansie, sprawował władzę w tej diecezji **S t e f a n II**, patriarcha Armenii, który zrzekłszy się swej godności patriarszej i władzy, nawiązał łączność ze Stolicą Apostolską i przeniósł się do Lwowa na biskupstwo. Wkrótce w 1551 r. zmarł i zwłoki jego spoczęły pod bazyliką katedralną. Następca jego **G r z e g o r z II**, był także gorliwym propagatorem jedności Kościoła; z powodu atoli napotykanych przeszkód zrezygnował z biskupstwa lwowskiego i wyjechał w r. 1568 do Rzymu. Niedługo podobnież sprawował władzę biskupią **B a r s u m a s B o g d a n o w i c z** z Trapezuntu, który zajął wakującą stolicę biskupią we Lwowie w 1577 a w pięć lat później z niej zrezygnował. Następnie włodarzyli diecezją kolejno: **J a n II**, biskup z Mołdawii, mianowany w r. 1589: **G a r a b e d** (Jan Chrzciciel), 1605—1606; **M e s r o b** (1608?); i **M e l c h i z e d e c h**, patriarcha Amenii Większej, (1622—1626); wszyscy czterej nie uznali władzy Papieża.

* * *

Patriarcha Melchizedech bynajmniej nie był wrogo usposobiony do unii; ale jego charakter w tym względzie był chwiejny; chciał on wrócić do Armenii na patriarchat, który opuścił przez to, iż nie mógł wpłacić dużego haraczu Persom; potrzebował tedy pieniędzy. Tym prawdopodobnie tłumaczy się chwiejne jego stanowisko w nastawieniu do sprawy unijnej. Wszelakoż natychmiast po jego wyjeździe (umarł on w r. 1627 w Kamieńcu Podolskim) plan trwałego zjednoczenia z Kościołem katolickim został zrealizowany.

* * *

Wyjeżdżając ze Lwowa patriarcha Melchizedech w r. 1626 władzę biskupią przekazał Mikołajowi Torosowiczowi. Ten miał lat zaledwie 22, kiedy został wyświęcony na kapłana i przyjął sakrę biskupią. Energiczny i pełen gorliwości biskup ten w cztery lata po swej konsekracji uroczyście opowiedział się za katolickim wyznaniem wiary; akt unii został dopełniony w r. 1630 we Lwowie, w następstwie czego biskupstwo lwowskie zostało do godności arcybiskupstwa-metropolii wyniesione (przez Urbana VIII) i w ten sposób Torosowicz został pierwszym arcybiskupem — metropolitą obrządku ormiańskiego w Polsce. Za jego rządu we Lwowie m. in. powstało kolegium papieskie (t. j. seminarium duchowne). Torosowicz zmarł w r. 1681.

A oto lista arcybiskupów ormiańskich: Mikołaj **T o r o s o w i c z** (1626—1630, biskup 1630—1681 arcybiskup). Wardan **H u n a n i a n**, znakomity teolog, najpierw biskup-koadiutor i następnie arcybiskup (1685 do 1715). Jan Tobiasz **A u g u s t y n o w i c z** (1715—1751). Jan Stefan **A u g u s t y n o w i c z** (1751—1782), świetny uczony „wartabed“ (doktor), słynął swym apostolskim zapałem. Jakób **D h u m a n o w i c z** (1783—1798). Jan Jakub **S z y m o n o w i c z** (1799—1816). Kajetan Augustyn **W a r t e r e s i e w i c z** (1816—1831). Samuel Cyryl **S t e f a n o w i c z** (1832—1858), wielki i sławny mówca, wysoce poważany przez współczesnych jako „wdzięk“ (ozdoba) Kościoła i „chluba narodu“; zmarł w r. 1858, mając lat 103 (czy właściwie 106). Grzegorz Michał **S z y m o n o w i c z** (1868—1875); w r. 1870 brał udział w Soborze Watykańskim. Grzegorz Józef **R o m a s z k a n** (1876 do 1881). Izak Mikołaj **I s a k o w i c z** (1882 do 1901), złotousty kaznodzieja i pełen gorliwości apostoł chrześcijańskiej miłości, o którym słusznie wypada powiedzieć, chcąc dać charakterystykę jego osoby w kilku jeno słowach: był to drugi Jan Chryzostom, był to zaiste wzorowy pasterz i ojciec w Chrystusowej miłości tych wiernych, których sercem całym miłował i przez których był wielce miłowany i czczony.

A obecny arcypasterz archidiecezji ormiańskiej — to jeden z najbardziej zasłużonych patriotów polskich. Ks. Arcybiskup Józef Teofil **T e o d o r o w i c z** obchodził w w r. 1927 srebrny jubileusz swego biskupstwa; **w b. r. jest przewidziany obchód 50-lecia jego kapłaństwa. Jubileusz ten stanie się niezawodnie znowu wspaniałą manifestacją na cześć tego Dostojnika Kościoła.**

A teraz szczegółów kilka dotyczących obecnego status archidiecezji.

Co do stanu posiadania: obecnie, według ścisłych danych, posiada lwowska archidiecezja ormiańska dwadzieścia dziewięć kościołów parafialnych, kaplic i kapliczek, prawie że wyłącznie w Małopolsce Wschodniej. W Warszawie kościół do niedawna w posiadaniu jej będący (przy ul. Miodowej) został oddany greko-katolikom (kościół pobazyliański). Na Wołyniu — w Łucku kościół niezremontowany. Parafie, poza Metropolią, są następujące: Brzeżany, Horodenka, Kuty, (Łuck), Łysiec, Śniatyn, Stanisławów, Tyśmienica.

Bazylika archikatedralna we Lwowie (model której wzięto ze starej katedry w Ani — dawnej stolicy Armenii) została zbudowana w czasie między 1363 a 1365 i jest jedynym w swoim rodzaju — zabytkiem ormiańskiej w Europie.

Ormianie, jak Polacy, są we wszystkich prawie zakątkach świata... Ważniejsze ich skupienia, poza ziemią ojczystą, są nie tylko w krajach sąsiednich, bliskich, w Egipcie, w Syrii, w Indiach i w innych krajach sąsiedztwa, ale i np. w Stanach Zjednoczonych — ponad 125.000; we Francji — 25.000; w Bułgarii, w Grecji, na Węgrzech, w Rumunii, w Anglii, we Włoszech, w Austrii, w Niemczech. Przeważnie te ich skupienia są zorganizowane. Co do religijnego nastawienia, to są oni przywiązani bardzo do chrześcijaństwa, w większości atoli niekatolicy. Ormianie w Polsce (a właściwie Polacy-Ormianie), to jedno z najważniejszych skupień.

Co do liczebności, nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły i badać, jaka jest liczba obywateli pochodzenia ormiańskiego w Polsce. W tym względzie znalazłem aż trzy różne wykazy i trzy różne obliczenia, wszystkie trzy atoli niedokładne i mylne, ponieważ dowolne. De facto, na podstawie obliczeń dzisiejszych, stwierdzić trzeba, iż jest w Polsce obecnie około 5.000 (pięć tysięcy) rodzin ormiańskich, przynależnych do pięknego i pełnego uroku obrządku ormiańskiego.

Ale, co prawda, nie od liczebności zawisło znaczenie polskiej „Armenii“. Nigdy oni tu zbyt liczni nie byli. Wszyscy polscy królowie w dawnych czasach przyjmowali ormiańskich imigrantów nader chętnie i obdarzali ich przychylnością i przywilejami — a to, oczywiście, że nie z uwagi na ich liczebność, ale z racji ich kwalifikacyj i zalet. Wielki król Jan III Sobieski uważał osiedlanie się Ormian w polskich miastach za „korzyść i ozdobę“. I w rzeczy samej „korzyść i ozdoba“ ich przybranej ojczyzny była i jest zawsze ideałem przewodnim Ormian w Polsce. W historii Polski ich dzieje są nieskazitelne i niesplamione ani jednym cieniem zdrady, a ozdobione zasługami.

Ormianie w Polsce, jak i gdzie indziej, mają i pielęgnują swoje własne tradycje; ich wspaniały i pełen namaszczenia obrządek, szanowany przez wszystkich, jest cennym żywym pomnikiem, dokumentującym to gościnne przyjęcie, jakiego doznali oni w „hajaser Lehastan“ (przyjaznej dla Ormian Polsce), i ich piękne dzieje na polskiej ziemi, w obecnych czasach, dzięki Najdostojniejszemu Arcypasterzowi, ks. Arcybiskupowi Teodorowiczowi. „Armenia“ polska jest także czynnikiem wielkiej i skutecznej działalności w religijnym i społecznym życiu Polski.

Rozrywki umysłowe Nr 14/53

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

W dniu dzisiejszym upływa rok, gdy zaczęliśmy na łamach naszego dodatku „Tydzień“ prowadzić Dział Rozrywek Umysłowych. Wszystkim Kolegom Szaradzistom, którzy wspierali nas Swymi zadaniami, jako autorzy, oraz ci, co nadsyłaniem rozwiązań, udowodnili celowość naszej pracy, serdeczne „Bóg zapłać“ zasyła Kierowniczka Działu.

Zadania pozakonkursowe

ZAD. 1. — ZADANIE LITERACKIE NA CZASIE,

uł. N. K. Kozłowski, czł. Kl. Szar.



Z podanych poniżej liter należy ułożyć: imię, nazwisko i pseudonim znakomitej powieściopisarki polskiej

Litery: 3 A, 1 C, 1 D, 4 E, 1 Ę, 12 I, 2 J, 4 K, 1 L, 3 M, 3 N, 6 O, 4 P, 1 R, 4 S, 1 Ś, 1 T, 1 U, 2 W, 2 Z.

(Z powodu braku miejsca w dzisiejszym numerze „Tygodnia“ druk dalszych zadań pozakonkursowych odraczamy do jednego z najbliższych numerów „Głosu Narodu“).

falę wrogiej nawały. Już widniały na prawo i lewo długie nasypy rowów strzeleckich, obok nich stargane i skrwawione szmaty z mundurów, sporo porzuconej i popsutej broni, łuski karabinowe, odcinały się też od tła świeże mogiły żołnierskie; długie, gromadzkie, bezimienne; na zaimprowizowanych krzyżach byle jak wypisana ilość pogrzebanych.

Pod koniec trzeciego dnia ujrzeliśmy słupy graniczne, nocleg wypadł już po stronie francuskiej w Rocroi. W dniu czwartym przez Charleville do Sedanu, w następnych przez Sternay, Vandoncurt, Conflance, Monlotte; we wtorek dopiero, 8 września, stanęlimy u celu, w wiosce St. Remy, na wschód od Verdun. Wkopaliśmy baterię 3 km. przed wsią w lesie, naprzeciw fortów Génicourt i Troyon.

Znaleźliśmy się pod rozkazami Kronprinza. Wiadomo, że zadaniem jego było brawurowym atakiem przełamać linię twierdz i wziąć Paryż. W oddziałach niemieckich śpiewano, do niego niby rzecz ściągając, starą piosenkę:

Es reiten drei Prinzen nach Frankreich durch,
Von Elsass, von Belgien, von Luxemburch.
Er reiten durch's Feld wie ein Wirbelwind!
Ohej! wie die Franzosen geloffen sind!

Mówiono też o nim, że lubi konie, jest tęgim kawalerzystą, a w poczynaniach taktycznych trzyma się metody huzarskiej: „durch“!

Metodą huzarską pchnięto też i nas na zuchwale wysunięte stanowisko: o kilka kilometrów tuż przed linię bojową francuską. Z najcięższą artylerią stanęliśmy tuż za linią tyralierską. Była w tym brawura, zadufanie w sobie, oszołomiona wstępnymi sukcesami. Brawura taka tutaj regułą.

Nocą z 8 na 9 września przy poczynającej się dłuższej, przykrej słocie, w pośpiechu ustawiliśmy baterię. W pośpiechu też zarządzono otwarcie ognia. Znaliśmy zresztą to niemieckie tempo: „sofort, oder wenn möglich noch früher“. Oczywisty bezsens zarządzenia zaraz się też pokazał: w niedługim czasie brakło nam amunicji. Cośmy wzięli ze sobą, zużyło się w Belgii. Nowy znaczny transport skierowano pod niedawnym naszym adresem — do Belgii. Zanim go stamtąd skierowano do Metzu i do baterii, — upłynął czas spory.

Francuzi wnet się jakoś zwiedzieli o naszej gościnie i jako naród grzeczny — chcieli koniecznie osobiście nas przywitać. Mieliśmy ich przed sobą o jakie 3—4 km. Po południu 9 września zaatakowali gwałtownie nasz odcinek Bezsilni, bo bez amunicji spakowaliśmy nocą manatki i nazajutrz wczesnym rankiem cofnęliśmy się o parę kilometrów poza St. Remy do wsi Combre. Tam na słocie i w chłodzie, w miejscowości okropnej (nie wyobrażałem sobie, że wieś francuska może być do tego stopnia brudna i niechlujna), przeczekaliśmy dzień cały. Rozkaz przyszedł wieczorem: napowrót na stare stanowiska. Rankiem dnia 11 byliśmy już na pozycji gotowi do strzału; zawadzał nam tylko drobiazg: brak amunicji.

Tegoż dnia rychło świt wyjechałem z kolumną automobilową do Conflance na jej poszukiwanie. Nie było jej ani w Conflance, ani w Spincourt, dokądeśmy telegrafowali. Nie było i w Metzu. Trzeba było zawiadomić o tym naszego komendanta. Wozy i dwóch kolegów zostało na stacji, mnie padło wracać na noc do St. Remy. Około 9. wieczorem dojechałem do miejsca postoju baterii. Tam czekała mię niespodzianka.

W St. Remy, gdzie już poprzedniego dnia było rojno i zbrojno, stanął tam sztab operującej w okolicy brygady. W lichej, brudnej wioszczynie tłoczyło się to wszystko koło jedynego możliwego domu: plebanii. Tam zaciżbiło się we wszystkich pokojach od oficerów, telefonistów. Nie rad ich widział gospodarz-proboszcz. Osobliwy księżyna: niski, krępy, czarny, mruk, źle patrzył na nieproszonych gości. Widać było, że do Niemców sympatii nie czuje, ale zdawał się znosić z rezygnacją ten ciężki dopust Boży.

Nagle — opowiedzieli mi to koledzy — około g. 4 po południu tuż pod wsią, na łąkę, gdzie stał nasz park automobilowy, od frontu padły pierwsze granaty francuskie. A po tym z flanki salwą raz po raz w wieś, głównie w sąsiedztwo plebanii. W sztabie panika. Brygadier niemiecki, jak był, tak wsiadł do auta i zemknął. Na głównej ulicy wiejskiej — jakby wymiótł; co nie zdołało zbiec do głębokich wąwozów po drugiej stronie wsi, wcisnęło się pomiędzy domy, w piwnice.

Cóż się stało? Oto jedna francuska bateria polna luką w linii niemieckiej wjechała na północne wzgórze i z odległości jakich 5 km. wzięła wieś pod ogień. Ogień był ostatecznie nieszkodliwy, a bateria przypłaciła swą brawurę — niewolą.

Przy tym wszystkim zdawało się, że komendant francuski wcale szczegółowo był poinformowany o dyslokacji nieprzyjaciela we wsi. Czy mu kto doniósł? Podejrzenie padło oczywiście na księdza. Któryś z żołnierzy miał jakoby zauważyć przeprowadzaną z wieży sygnalizację świetlną. Zaaresztowano go zaraz, nie szczędząc mu obelg i energicznych poszturchiwań. Doszły nas wieści potem, że sąd polowy skazał go na śmierć.

Kiedym więc dobił do wsi, było już po awanturze. Ale został po niej nastrój niespokojny. Ogni palić wzbroniono i nakazano ciszę. Kiedym się sprawił przed komendantem ze swą służbą, ledwie wynalazłem kąt na strychu plebanii, kąt sposobny z odrobiną siana i w ubraniu, w butach, zabłocony po kolana, rzuciłem się barłog. Noc była spokojna. Spokoju jednak starczyło nie na długo. Nie na cały dzień.

Nad wieczorem następnego dnia dostaliśmy rozkaz, żeby w przeciągu godziny wydrzeć baterię z ziemi i — zmykać. Po prostu — alarm. Było to fizyczną niemożliwością. W ziemi rozmiękłej, przy wąskim i grząskim gościńcu, gdzie trudno było obrócić wozem, w nocy ciemnej, ulewnej i wietrznej, z ludźmi zmęczonymi, przy braku wozów, — z dużym trudem dopiero około godz. 1 w nocy mogliśmy pomyśleć o odwrocie.

A odwrót był na urząd. Francuzi następowali na całym froncie, napierali z bliska, nie napotykając nawet na duży opór. Niemcy ustępowali pospiesznie, krótko mówiąc w panice. Czuliśmy, że w rozwoju wypadków wojennych musiało zajść coś bardzo decydującego. W ciemną noc, przy wściekłym wichrze, pod drobnym ale zjadliwie siekącym deszczem — wojska niemieckie uciekały jak mogły, rzucając po drodze wozy, padłe konie, ekwipunek. Zostawiono nas bez osłony, nadążyliśmy do ucieczki chyba ostatni.

Nie obyło się i u nas bez strat materialnych. Wjechał nam do rowu wóz z benzyną i ugrzązł tam na amen; trzeba było podziurawić beczki. W braku wozów, no i czasu także, wypadło zostawić nasze bomby; tyle tylko, żeśmy je zakopali w lesie. Co gorsza z powodu licho pracujących motorów automobilowych musieliśmy też zostawić w lesie na Bożej opiece żelazne podłogi spod dział, po jednej z obu bateryj. Dostały się one w ręce Francuzów i stąd potem urosła w prasie francuskiej wiadomość o zdobyciu całej jednej baterii moździerzy austriackich.

„Odłączaliśmy się od nieprzyjaciela“ przez resztę nocy i przez cały dzień 13 września bez postoju przez St. Maurice, Mars la Tour, Rezonville. W południe 14 września stanęliśmy pod Metzem, w Longeville, gdzie w koszarach 67 p. p. zapowiadał się nam dłuższy nieco postój.

Tutaj dopiero doszły do naszych uszu dwa nazwiska jen. Joffre i Marna.

Uczestniczyliśmy w ten sposób w pierwszej wielkiej klęsce niemieckiej.

O hej, wie diese Preussen geloffen sind!

KUPON Nr 14/53

ważny do dnia 2 maja 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Encyklika Piusa XI przeciw neopogaństwu narodowego socjalizmu w III Rzeszy zawiera m. in. protest przeciw nadużywaniu do celów świeckich, względnie przekręcaniu treści dogmatów chrześcijaństwa. Tak np. protestuje Papież przeciw pospolitemu w ruchu neopogańskim rozumieniu nieśmiertelności duszy jako „zbiorowego przedłużenia życia w żywocie narodu"... Takich sfałszowań dogmatów jest wiele. M. in. szczególnie w związku z osobą Chrystusa Pana.

Narodowi socjaliści właściwie nie zajmują jednolitego stanowiska wobec Chrystusa Pana. Prócz takich, którzy w ogóle przeczą Jego istnieniu, są tacy, którzy Go odrzucają jako „żyda", — ale i tacy, którzy Go chcą od „żydostwa" uwolnić, robią z Niego przedstawiciela „nordyckiej" rasy, nawet „antysemitę". Więc wszystko inne, tylko nie to, czym był: Boga — człowieka.

Do jakich przy tym absurdalnych dochodzą wniosków, dowodzi specjalny numer antysemickiego pisma „Der Stürmer", poświęcony Chrystusowi.

CHRYSTUS „ANTYSEMITĄ"

„W przeciwieństwie do tego — czytamy w nim — czego się często uczy, Chrystus nie był żydem. Nie pochodził bowiem z Judei, lecz z Galilei, która nie przez żydów była zamieszkana. Co więcej — rodzice(!) Chrystusa należeli do zawodu ciesielskiego. Otóż, można przejść cały świat, a nie znajdzie się jednego żyda, który by był cieślą.

Gdyby Chrystus był żydem, miałby był cechy charakterystyczne żyda. Myślałby, jak żyd, — nauczałby żydowskich teoryj, postępowałby, jak żyd. Żydzi by Go uznali za swego i poszliby za Nim. Tym czasem odrzucili Go. Nauka Chrystusowa została przyjęta przez wszystkie narody, które my nazywamy aryjskimi. Bierze bowiem początek we krwi(!) nordyckiej.

Chrystus był antysemitą. Był jednym z najodważniejszych i najszczerszych po wszystkie czasy. Religia zaś przez Niego stworzona była jednym z największych ruchów antysemickich w historii".

Jest to stek absurdów, które stanowią upokarzające świadectwo umysłowego ubóstwa dla Streichera, redaktora pisma... Chrystus był Bogiem i człowiekiem w jednej osobie. Nie można za tem mówić, że „był żydem", albo „nordykiem"; zaliczenie Go do jakiejś narodowości nie wyczerpuje natury Chrystusa Pana. Ale, jeśli mamy na uwadze tylko ludzką Jego naturę, to — i oczywiście tylko w tym znaczeniu — Chrystus należał do żydowskiego narodu, bo Jego Matka do tego narodu należała... Czy był „antysemitą"? Walczył z wadami swego narodu, demaskował obłudę jego kierowników. Ale równocześnie kochał Swój naród i Swoją Ojczyznę. Małoż dowodów tej Jego miłości przekazali nam ewangeliści?

Rzecz ciekawa, że pismo głoszące tak absurdalne teorie czytają Niemcy, „naród filozofów".

„LOCHY" WESTMINSTERU.

Ile uprzedzeń do katolicyzmu tkwi w angielskim społeczeństwie, dowodzi następujący fakt:

Tygodnik „News Review" otrzymał i ogłosił drukiem list jednego ze swych czytelników, który pisze: „Czy jest prawdą, że pod wielkim obrazem Matki Boskiej w rzymsko-katolickiej katedrze Westminsteru znajduje się loch, do którego wrzuca(!) się ofiary, aby zginęły utopione w falach Tamizy? Dowiedziałem się o tym ze źródła poważnego".

Zamiast rzucić ten list do kosza, redakcja ogłosiła go, — co prawda z dopiskiem, że „według wiadomości z jeszcze pewniejszego źródła takiego lochu w katedrze westminsterskiej nie ma"... Jeśli anglikańskie koła takimi się karmią anegdotami, to łatwo sobie zdać sprawę z przyczyn słabych postępów katolicyzmu w Anglii.

WŁOSKA PRASA WOBEC ENCYKLIKI.

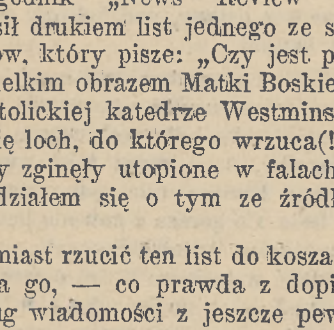
Encyklika przeciw błędom narodowego socjalizmu w Niemczech została źle przyjęta przez te żywioły w Europie, które z tym ruchem sympatyzowały, np. we Włoszech i na Węgrzech. Prasa włoska ograniczyła się po prostu do podania krótkiej wiadomości o encyklice i to jeszcze w streszczeniu, które nie oddaje właściwego jej sensu. Skutkiem tego „Osservatore Romano" zamieścił następującą notę:

„Katolicka prasa we Włoszech dała obszerne streszczenie tego dokumentu; reszta jednak dzienników zamieściła zaledwie chłodne wzmianki, inspirowane niewątpliwie przez krótki i niedokładny komunikat urzędowej agencji, który wypacza sens papieskiej myśli.

To dziwne stanowisko prasy włoskiej jest tym bardziej ubolewania godne, że prasa ta wolała podać w daleko obszerniejszym streszczeniu i bez komentarzy niezwykły artykuł z „Voelkischer Beobachter" o możliwości łamania traktatów międzynarodowych".

Nie jest rzeczą trudną znaleźć przyczynę tego zachowania się prasy włoskiej. Prasa ta bezwzględnie oddana rządowi, otrzymuje dyrektywy od sfer oficjalnych, a te od pewnego czasu prowadzą politykę ścisłego porozumienia z III Rzeszą. Tym się tłumaczy ta wytknięta prasie włoskiej przez „Osservatore" wstrzemięźliwość w zdawaniu sprawy z encykliki papieskiej, która przygważdża fakty prześladowania katolicyzmu w III Rzeszy.

Ale sprawa poruszona przez organ watykański ma jeszcze i drugą stronę... Byliśmy skłonni uwierzyć, że normalizacja stosunków między państwem, a Kościołem we Włoszech oznacza zupełne porozumienie. Zachowanie się prasy włoskiej w sprawie encykliki przeciw niemieckiemu neopogaństwu, informowanie o niej w sposób, który wypacza myśl Papieża, dowodzi, że tego zupełnego porozumienia nie ma. Nic w tym dziwnego! Faszyzm nie powstał z natchnienia katolickiego. Przebył wprawdzie korzystną ewolucję w stosunku do katolicyzmu, ale nie zapominajmy, że dość w nim jest jeszcze żywiołów, które katolicyzm traktują jako narzędzie polityczne, a stosunek do Kościoła mierzą racją stanu, która dziś polega na utrzymywaniu serdecznych stosunków z neopogańską III Rzeszą, a jutro może na walce z nią. *Pejot.*



Prawa człowieka i obywatela

Stolica Apostolska w obronie godności ludzkiej

Znaczenie światowe encykliki papieskiej o położeniu Kościoła w Niemczech nie ulega wątpliwości; zostały w niej bowiem poruszone najaktualniejsze problemy o stosunku jednostki do państwa. Ojciec św. występuje przeciwko obniżającym godność człowieka i obywatela doktrynom neopogańskim wprowadzającym w życie zasadę, że „granice państwa stają się granicami sumienia".

Pius XI w swej encyklice wysuwa trzy zasadnicze tezy w obronie godności ludzkiej. 1. przeciwstawiania się doktrynie krwi i rasy, dzielącej ludzi i narody na uprzywilejowanych i upośledzonych, 2. broni godności prawa, kontraktów i umów w stosunkach między jednostkami i narodami, 3. występuje przeciwko idei ubóstwiania państwa, jako rzecznik i obrońca indywidualnej godności obywateli.

A więc przede wszystkim encyklika wykazuje, że wysuwana przez narodowych socjalistów koncepcja t. zw. „Herrenvolku", „ludu panów", próbująca zastosować teorię rasy do planu zdobywania i podbijania, jest sprzeczną z zasadami chrześcijaństwa. — „Kto bowiem, mówi Ojciec św., takim wartościom, jak rasa, naród, państwo usiłuje nadawać jakieś nadludzkie znaczenie, czyniąc z tych wartości jakby pogańskie bóstwa, ten odwraca Boski porządek rzeczy". Kościół nie uznaje ras wybranych i odrzuconych. Kościół wskazuje, że nauka Chrystusa jest nie tylko źródłem moralnego odrodzenia pojedynczych ludzi, lecz może i powinna być szczęściem dla całej ludzkości, zasadniczą siłą ciągłego wzrostu kultury i społecznego postępu każdego narodu.

To uroczyste potępienie idei rasizmu przez Stolicę Apostolską posiada ogromną wagę, jeżeli zważymy, że nie tak dawno jeszcze przywódca narodowego socjalizmu głosił, że doktryna krwi i rasy musi wywołać zasadniczy przewrót w pojęciach społecznych ludzkości. „Oznajmiam wam proroczo — wołał Hitler — że jak ongiś idea o obrocie ziemi dokoła słońca zmieniła poglądy na budowę świata, podobnie doktryna krwi i rasy, proklamowana przez narodowy socjalizm, stanowić będzie zwrot w dziejach ludzkości". (Por. „Osservatore Romano" o tym oświadczeniu kanclerza Hitlera w art. „La dottrina del sangue e della razza").

Następnie Ojciec św. podkreśla ogromną wagę dotrzymywania zawieranych umów, czy to w stosunkach prywatnych, czy społecznych. Przytaczając fakty naruszania konkordatu ze strony rządu hitlerowskiego, Pius XI oznajmia, że należy uczynić wszystko, aby w stosunkach między ludźmi „zabezpieczyć świętość danego uroczyście przyrzeczenia oraz nienaruszalność umów i kontraktów dobrowolnie zawieranych". Jeżeli bowiem tego rodzaju kontrakty będą łamane, to nie może być mowy o jakimkolwiek porządku społecznym. Ojciec św. występuje więc zdecydowanie przeciwko wszelkim doktrynom socjalnym, „które obniżają powagę danego słowa przy zawieraniu kontraktów."

Tym czasem egoizm państwowy, wprowadzony w życie w naszych czasach przez narodowych socjalistów, odnawia hasła Bismarcka: „konieczność nie ma prawa" i „siła przed prawem". Hitleryzm kieruje się tą zasadą, którą już Meinecke w swej rozprawie „Preussen u. Deutschland" wypowiedział: „Prawa moralne, dotyczące świętości traktatów, są nienaruszalne, ale i obowiązek, jaki spoczywa na mężu stanu, dbania o bezpieczeństwo i całość narodu i państwa, jest również święty i nienaruszalny. Cóż tedy należy czynić w razie konfliktu pomiędzy dwoma obowiązkami?... Doświadczenie poucza, że w podobnych wypadkach mąż stanu nie może postąpić inaczej, jak tylko zastosować zasadę: przede wszystkim państwo „Salus reipublicae suprema lex esto".

Tym sposobem w praktyce życia naród i państwo zostają oddzielone od moralności. W tym właśnie tkwi źródło narodowo-socjalistycznej polityki.

Wreszcie Ojciec św. przeciwstawia naukę Kościoła koncepcjom hitleryzmu, ubóstwiającym państwo i jego wodza. Pius XI mówi: „kto ośmiela się czcić zwykłego śmiertelnika, choćby największego ze wszystkich ludzi jacy istnieli, na równi z Chrystusem, ten popełnia bluźnierstwo nie zdając sobie sprawy z różnicy, jaka zachodzi między Bogiem a stworzeniem".

— — — — — —

Podobnie ubóstwianie państwa należy uważać za stanowczo przeciwne moralności chrześcijańskiej. „Jeżeli — mówi Ojciec św. — istniejące reprezentacje władzy państwowej w porządku doczesnym zajmują miejsce istotne i zasługują na respekt, to z drugiej strony ubóstwianie tych instytucyj przez kult bałwochwalczy czyni zamieszanie, odwracając porządek ustanowiony przez Boga".

A tym czasem hitleryzm i pod tym względem oddziela etykę od prawa, moralność od państwa, forsując tę samą zasadę, którą już niemiecki filozof Fichte głosił: „Państwo może bez wahania przyjąć i kierować się następującym przykazaniem: kochaj siebie ponad wszystko a twoich współbraci ile siebie samego". (Zacytowane przez Willmana: Geschichte des Idealismus, III, s. 566). A na innym miejscu powiada: „Naczelnik państwa znajduje się ponad przykazaniami moralności indywidualnej" (Por.: „Ueber Machiavel als Schriftsteller" s. 221).

Widzimy więc, że Ojciec św. występując przeciwko tym doktrynom ubóstwiania państwa tak dziś niebezpiecznym, uznaje potrzebę konsolidacji społecznej, ale szeregując zgodnie z prawem Bożym wartości życia zbiorowego i bierze w obronę praw jednostki, która wówczas tylko będzie spełniać należycie obowiązki obywatelskie, gdy działalność swą oprze na sumieniu a nie na elementach pychy lub przymusu.

Z obcej niwy:

Bezbożnictwo, jako cel

Obrońcy czerwonej Hiszpanii zapewniają, że akty wandalizmu (burzenie i palenie kościołów, mordowanie duchowieństwa itd.) jeśli w ogóle były, były tylko reakcją na próby używania kościołów na składy broni i t. p.); czerwona Hiszpania bowiem — mówią — nie ma jakichś bezbożniczych celów i nie walczy z religią, lub Kościołem. Tak m. in. przemawia w Genewie w Lidze Narodów minister spraw zagranicznych w rządzie „Frontu Ludowego" p. Alvarez del Vayo, który zapewnia swoich słuchaczy, że Hiszpania „jutrzejsza" po rozprawieniu się z gen. Franco zabezpieczy „wolność wyznania".

Jest to nieprawda. Walka z religią, dążność do zupełnego jej zniszczenia i bezbożnictwo, oto cele, które sobie stawiają najsilniejsze i kierownicze organizacje polityczne tworzące „Front Ludowy" w Hiszpanii: anarchiści, komuniści i socjaliści... Paryska „la Croix" przytacza m. in. wyjątek z barcelońskiego dziennika „Solidaridad Obreon", który w sposób niedwuznaczny i wyraźny ukazuje antyreligijne oblicze czerwonej Hiszpanii.

„Zdaje się, że Alvarez del Vayo — pisze „Solidaridad" — widział się zmuszonym ograniczyć nieco wobec Ligi Narodów cele naszej rewolucji. Powiedział bowiem, że Hiszpania będzie demokracją społeczną i — w konsekwencji — zabezpieczy wolność wyznania. — Dziwne! Znamy wprawdzie wartość oświadczeń składanych przez dyplomatów, zwłaszcza na zebraniach Ligi Narodów, lecz ze względu właśnie na czysto dyplomatyczny charakter ministra spraw zagranicznych skłonni jesteśmy sądzić, iż pod frakiem dyplomatycznym ministra del Vayo kryje się wielki humorysta.

Zapewniając, że Kościół będzie mógł istnieć w Hiszpanii po zapanowaniu normalnych warunków i pokoju, powinien był powiedzieć w jaki sposób się to stanie, bo minimalne są dziś dla Kościoła możliwości jego istnienia w przyszłości.

Lud ze swoją prawdziwą intuicją, która go nigdy nie opuszcza, od początku rebelii był przekonany, że pierwszymi sprzymierzeńcami powstańczej zdrady byli mnisi, proboszczowie biskupi, kanonicy, chłopcy (!) z chórów kościelnych, i za swój obowiązek uważał zniszczyć ich nory; wspaniałe świątynie, przybytki bałwochwalstwa naszych czasów, obracał w perzynę, choć wielu, którzy przechodząc koło spalonych kościołów, mówiło: „Szkoda".

Zapewne; ale energiczna akcja robotników nie mogła inaczej postąpić z kościołami, które stanowiły siłę nieprzyjaciela, i z których strzelano do ludu. Żadna nasza akcja w stosunku do Kościoła nie będzie dość energiczna. Religie są chorobą narodów, której leczyć nie można. — Lenin, (czy raczej nie Marks? — przyp. Red. „Tygodnia") powiedział, że religia jest opium dla ludu... To nam jeszcze nie wystarcza.

Opium usypia i zmniejsza coraz bardziej siły ludzkiego organizmu, lecz nie doprowadza go do stanu zwierzęcego. Religia zaś przenika w głąb ducha i tego życia, które nazywają duszą, i tam usadawia się mikrob, który systematycznie niszczy osobowość ludzką. W końcu nic już z pierwotnej istoty nie zostaje tym istotom, które pozyskał dla siebie Kościół.

Dlatego ci, którzy znają zło wytwarzane przez religię, nie rozumieją, na czym by miała polegać „wolność wyznania".

By sobie zdać sprawę, wystarczy rozważyć zjawisko palenia kościołów. Nie został mu już jeden ołtarz nietknięty; nie ma już jednego z tych bałwanów, które stawiają we framugach kościelnych. Z trudnością znalazłaby się garść wiernych. I mimo to chcą jeszcze „wolności wyznania". Czyżby dlatego, że lud znając te sprawy lepiej, niż ktokolwiek inny, wydawał kościoły na pastwę ognia, których zupełnemu zniszczeniu — mówiąc nawiasem — żaden cud nie zapobiegł?

Zapowiedź, czy kompromis p. Alvarez del Vayo w sprawie „wolności" kultu katolickiego wywołały dobre wrażenie w Lidze Narodów. Lecz my tutaj w Hiszpanii śmiejemy się z tego. Albowiem zaczynając od wolności wyznania doprowadzilibyśmy do dziękczynnego „Te Deum".

Oto głos, który w sposób jasny i niedwuznaczny stawia bezbożnictwo w rzędzie ostatecznych celów czerwonej Hiszpanii. Dlatego chwali spalenie kościołów, dlatego też nietraktuje poważnie zapewnień ministra, że Hiszpania „jutrzejsza" zostawi ludziom wolność zanoszenia modłów do Stwórcy.